

LESZEK BALCEROWICZ

KRYZYS A GOSPODARKA POLSKA*

Od dwóch lat często powtarza się łącznie trzy słowa: „globalny kryzys finansowy”. Nie sposób, będąc ekonomistą, nie mówić na ten temat; jest on bardzo istotny dla świata i dla poszczególnych krajów. Należy zacząć od wytłumaczenia samego zjawiska.

I. „Kryzys” – nie ma precyzyjnej definicji tego słowa i nie ma sensu jej szukać. Tak jak nie ma precyzyjnej definicji „młodości”. Czy człowiek 30-letni jest jeszcze młody, czy już nie jest młody? Trzeba więc przyjąć, że zwykle przez kryzys rozumie się poważne zaburzenia wykraczające poza normalne wahania działalności gospodarczej. W tym sensie można mówić o kryzysie w latach 2008-2009, zwłaszcza w krajach rozwiniętych i w niektórych mniej rozwiniętych. Na całym Zachodzie wystąpiła w ubiegłym roku recesja, tzn. gospodarka zamiast się rozwijać, zwiżała się, ale to zjawisko wystąpiło jeszcze głębiej w niektórych krajach mniej rozwiniętych, np. w krajach nadbałtyckich. Tyle na temat samego kryzysu.

Dlaczego nazywa się ten kryzys finansowym. Dlatego że wystąpił (czy zaczął się) w bardzo ważnej części nowoczesnej gospodarki rynkowej, którą nazywa się sektorem finansowym. A sektor finansowy to banki komercyjne, które specjalizują się – z jednej strony – w przyjmowaniu depozytów, wkładów indywidualnych klientów i przedsiębiorstw, z drugiej – w udzielaniu kredytów. Mamy też banki zwane inwestycyjnymi, które mimo podobnej nazwy „bank” robią zupełnie coś innego – pośredniczą w emisji papierów wartościowych; czasami dokonują operacji finansowych na własny rachunek. Mamy wreszcie banki uniwersalne, które łączą w sobie kilka funkcji, mamy ubezpieczenia komercyjne czy fundusze emerytalne. Są to wszystko instytucje finansowe. Część transakcji dokonywanych między tymi instytucjami finansowymi nazywa się rynkiem finansowym. Jeśli emituje się obligacje lub akcje przedsiębiorstw poprzez giełdy lub w inny sposób, to tego typu transakcje też nazywa się właśnie rynkiem finansowym. W sumie sektor finansowy to instytucje i rynki finansowe.

Dlaczego kryzys w sektorze finansowym ma głębsze konsekwencje dla innych sektorów gospodarki? Powód jest bardzo prosty. Sektor finansowy jest bardzo ważny dla rozwoju innych części gospodarki. Mogę tylko przypomnieć,

* Wykład wygłoszony 20 stycznia 2010 r. w Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w czasie spotkania ze studentami poznańskich uczelni i licealistami w ramach II Dni Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu.

że sektor finansowy pośredniczy między tymi, którzy oszczędzają, a tymi, którzy zaciągają kredyty. A ci, którzy udzielają kredytów, czy w sumie funduszy, starają się je odzyskać, co jest naturalne, i w związku z tym nadzorują dłużników (to również bardzo ważna funkcja). W nowoczesnej gospodarce ten sektor jest tak istotny, że jeżeli w nim wystąpi kryzys, to jego konsekwencje odczuwa reszta; nie każdy sektor gospodarki jest tak ważny. Na przykład w Stanach Zjednoczonych przed tym kryzysem pojawiła się inna bańka, która pękła, była to bańka internetowa. Globalnie nie wywołało to jednak większych reperkusji, nawet w samych Stanach Zjednoczonych, mimo że Internet jest ważny, to jednak pęknięcie bańki akcji firm internetowych nie miało takich skutków, jak zaburzenia w sektorze finansowym. To świadczy o wadze tego drugiego sektora.

Dlaczego nazywa się obecny kryzys „globalnym”? Czy dlatego, że kryzys wystąpił wszędzie z równą siłą i w tym samym czasie? Nie. Nie wszystkie problemy globalne mają taki charakter. Jest to kryzys globalny dlatego, że rozpoczął się w najważniejszej globalnie gospodarce świata: gospodarce amerykańskiej. Gdyby ograniczył się do Liechtensteinu, nikt by się nim nie przejął, podobnie gdyby wystąpił w Belgii czy nawet Hiszpanii, gdyż są to małe gospodarki. Natomiast gospodarka Stanów Zjednoczonych to około 25% gospodarki światowej, więc jeżeli w tym potężnym gospodarzo (i pod innymi względami) kraju występuje kryzys, to ma on konsekwencje dla reszty gospodarki tegoż kraju i dla gospodarki innych krajów, zwłaszcza dla tych, które są z nim szczególnie powiązane.

II. W jaki sposób kryzys w ważnym globalnie kraju dotyka innych krajów? Wynika to z działania dwóch głównych mechanizmów, które występują dlatego, że świat jest „zglobalizowany”.

Może warto w tym miejscu wspomnieć o słowie często używanym i często nierozumianym, czyli „globalizacji”, która często występuje w charakterze straszaka (wystarczy popatrzeć na agresywnych alterglobalistów, którzy próbują przedstawić swoje argumenty w formie siłowej).

Czym zatem jest globalizacja? To sytuacja, w której nie ma sztucznych barier w kontaktach między ludźmi z różnych krajów. Globalizacja jest przeciwieństwem izolacji, czyli sytuacji, w której świat podzielony jest na odizolowane jednostki nazywane krajami i gdy nie ma między nimi wielu kontaktów. Wtedy też nie ma globalnego kryzysu, gdyż kryzys jest zlokalizowany w izolowanych jednostkach. Ale wiemy ponad wszelką rozsądną wątpliwość, że izolacja poszczególnych krajów jest receptą na nędzę, zwłaszcza w krajach, które są biedne i niezbyt duże. Taka izolacja oznacza odcięcie od wiedzy, informacji i konkurencji.

Przez ogromną większość swojej historii ludzkość była podzielony na odizolowane od siebie jednostki. Było tak aż do XVIII w., pomijając może okres cesarstwa rzymskiego, kiedy to były niezłe drogi i *pax Romana*. Przechodzenie do intensywniejszych kontaktów między ludźmi z różnych krajów rozpoczęło się wraz z rozwojem nowoczesnego kapitalizmu, czyli z wolnością gospodarczą, która obejmowała wolność utrzymywania stosunków gospodarczych nie tylko wewnątrz danego kraju, ale z ludźmi z innych państw. Takie zjawisko

nazywamy wolnym handlem. Przeciwnością wolnego handlu są rogowki na drogach, gdzie pobiera się myto i wysokie cła. Otóż ta pierwsza globalizacja rozpoczęła się w XIX w. i została zakończona przez I wojnę światową; później była próba jej odrodzenia, która się załamała i wystąpiły wielkie zaburzenia w gospodarce światowej nazywane Wielkim Kryzysem. Był to okres wielkiego cofnięcia się globalizacji, czyli powstania barier gospodarczych. Był to też okres wielkiego cofnięcia się świata i triumfu takich ustrojów, jak faszyzm i komunizm. Kto wówczas najbardziej ucierpiał – kraje biedne.

Po II wojnie światowej globalizacja zaczęła się odradzać – zaczęto stopniowo znosić bariery w kontaktach gospodarczych między ludźmi, najpierw między krajami rozwiniętymi, a to z kolei pomogło im się rozwijać. Potem dołączyły do nich pewne kraje mniej rozwinięte, które zerwały z izolacją. Najpierw były to tzw. azjatyckie tygrysy, które się fenomenalnie szybko rozwijały, a później zaczęło się to upowszechniać. Poza globalizacją powstawał oczywiście świat komunistyczny.

Globalizacja nie jest procesem zakończonym, ale generalnie mamy świat bardziej zglobalizowany niż izolowany. Chiny, na przykład, za czasów maoizmu, aż do końca lat 70., były krajem klęski gospodarczej, odizolowanym od świata, w którym panował awanturniczy i zbrodniczy reżim – kilkadziesiąt milionów ludzi umarło w czasie i wskutek rewolucji kulturalnej. Od końca lat 70. Chiny zaczęły się otwierać na świat. Choć tego nie mówią, to jednak przechodzą do kapitalizmu otwartego na świat, co jest częścią globalizacji. Te reformy wyrwały z nędzy kilkaset milionów ludzi. Otwarcie na świat przy odpowiednim systemie wewnętrznym jest potężnym motorem nadrobienia dystansu przez biedne kraje.

Jeżeli świat jest „zglobalizowany”, to jeśli w jakiejś jego istotnej części wystąpi kryzys, to on się przenosi. Takie są konsekwencje globalizacji – możemy ją porównać z ogniem. Życie bez ognia byłoby raczej ponure, choć nie byłoby ryzyka poparzenia. Ale co wybieramy: życie bez ognia, żeby się nie poparzyć, czy życie z ogniem? Podobnie jest z wieloma innymi zjawiskami.

W jaki sposób kryzys się przenosi? Gdy świat jest „zglobalizowany”, przenosi się on przez dwa mechanizmy: więzi finansowe i więzi handlowe. Przez *w i ę z i f i n a n s o w e*, gdyż wiele banków to banki międzynarodowe, oznacza to, że w dużej mierze prowadzą one działalność poza granicami własnego kraju. Jeżeli więc prowadzą działalność w takim kraju, w którym jest kryzys, to w jego wyniku ucierpią – ich aktywa stracą na wartości, albo też same się przyczynią do tego kryzysu. Skrajnym tego przykładem jest Islandia. Jest to mały kraj (300 tys. mieszkańców) z gigantycznie dużymi bankami, które prowadziły ekspansję na terenie Wielkiej Brytanii i Holandii. Okazało się, że prowadziły ją nieostrożnie – poniosły duże straty. Ma to swoje konsekwencje dla małej Islandii, która jest pod presją, aby owe straty pokryć.

Ale z finansowej integracji wynikają też ważne korzyści. Jakie? Możemy korzystać z zewnętrznego kapitału, żeby przyspieszać nasz rozwój. Nie musimy polegać tylko na własnych zasobach. Rzecz w tym, żeby to robić mądrze, czyli nie za dużo na raz, i w tej dziedzinie, w której się oplaca. Pokusy wykorzystywania kapitału zbyt szybko lub niemądrze są wielkie. Pewne innowacje

finansowe poszły zapewne za daleko i się nie sprawdziły. Rynek działa metodą prób i błędów.

Generalnie kraje rozwinięte są bardziej połączone poprzez sektor finansowy niż kraje mniej rozwinięte. W związku z tym to, co się stało w Stanach Zjednoczonych, najbardziej dotknęło najpierw kraje rozwinięte (np. Niemcy i generalnie Europę Zachodnią oraz Japonię (choć to państwo ma własne problemy)).

Drugi rodzaj więzi, to więzi handlowe, czyli handel zagraniczny. Jeżeli dużo eksportujemy, a rynki zewnętrzne się kurczą, to nasz eksport też się zwija, a to z kolei dotyka resztę całej naszej gospodarki, jeżeli w sektorze eksportowym pracuje wielu ludzi. Ale w jakim stopniu to dotyka, zależy od stopnia uzależnienia danego kraju od eksportu, to zaś zależy od jego wielkości. Przeciętnie rzecz biorąc, małe kraje eksportują większy odsetek swojej produkcji (i w związku z tym więcej importują) niż duże kraje. Wyjaśnia to w części, dlaczego Polska została mniej dotknięta kryzysem niż Litwa, Łotwa, Estonia, Czechy i Węgry – my jesteśmy daleko większym krajem niż kraje nadbałtyckie i inne wymienione państwa. Nie jest naszą zasługą, że jest nas więcej niż Litwinów, musielibyśmy się cofnąć do Piasta Kołodzieja i zastanowić, skąd biorą się te różnice i w jakiej mierze przyczyniły się one do późniejszej liczebności tych państw. Jest to po prostu czynnik obiektywny. Ale ponadto kraje, które szczególnie ucierpiały, miały na sumieniu własne grzechy w polityce ekonomicznej i nawet bez zewnętrznego wstrząsu miałyby kłopoty, tyle tylko, że później i mniejsze.

Na czym polega główny grzech ekonomiczny? Zupełnie odwrotnie niż to sobie wyobrażają populiści, którzy mówią, że trzeba „pobudzać”, czyli więcej wprowadzać pieniądza do gospodarki. Słowo „pobudzanie” zwykle dobrze się kojarzy – z ciepłem, a jego przeciwieństwo, czyli „chłodzenie” – z zimnem. Taka jest podstawa, jak widać, nierozumowa, tego rodzaju zaleceń. Wielu ludzi daje się jednak nabrać na taki prymitywny populizm.

A co się dzieje wówczas, gdy zbyt szybko zwiększa się wydatki? Czasami rośnie inflacja – jest to zjawisko, które szkodzi gospodarce, szkodzi ludziom. Wysoka i/lub rosnąca inflacja wprowadza szkodliwą niepewność do życia ludzi i przedsiębiorców.

Czasami nadmierny wzrost łącznych wydatków wiąże się z nadmiernym wzrostem wydatków budżetowych. Jeżeli do tego dochodzi, czyli do ulubionego przez populistów „pobudzania”, to co się dzieje? Prędzej czy później rosną zwykle podatki. Jediną przyczyną wysokich podatków jest fakt, iż służą one finansowaniu wydatków. To jest ten dochód, który zabiera państwo z kieszeni podatników. A więc narzekanie na wysokie podatki jest przejawem „bicia piany”, gdyż ich jedyną przyczyną są wysokie wydatki. Trzeba się skupić na ograniczaniu takich rozдутych wydatków, zamiast narzekać.

Zatem jeżeli się gospodarzę „pobudza” – zwiększa wydatki, to po pewnym czasie trzeba zwiększać podatki, co jest nieprzyjemne i szkodzi rozwojowi gospodarki. A w międzyczasie, gdy się zwiększa wydatki, trzeba to jakoś sfinansować. Najłatwiejszy sposób to dodrukować pieniądze. Państwo jest jedyną instytucją w kraju, która może to legalnie zrobić, choć nie powinno

drukować pieniądze, aby pokrywać wydatki, które nie mają pokrycia. Jeżeli jednak bank centralny jest niezależny, to broni się przed tym, dopóki jest niezależny i są tam ludzie, którzy chcą to robić. Taki bank centralny jest niezbędnym strażnikiem stabilności pieniądza.

Jeżeli nie można drukować pieniędzy pod presją polityczną, trzeba je pożyczać. To się nazywa długiem publicznym. Im bardziej kraj się zadłuża, tym wyższe musi spłacać odsetki i – jeśli to trwa – w końcu wpada w pułapkę zadłużenia. To znaczy nie jest w stanie go spłacić.

Polska znalazła się w takiej sytuacji w latach 70., które część osób wspomina jako najlepsze czasy – czasy bonanzy. W rzeczywistości były to czasy katastrofy gospodarczej: Polska się zadłużała, a za pożyczone pieniądze finansowano często nietrafione inwestycje, przyspieszono luksusową „konsumpcję”, np. bananów, gdyż banany w socjalizmie były symbolem luksusu. Obrazowało to wyrażenie „bananowcy” na określenie młodzieży żyjącej w luksusie, to znaczy takiej, którą stać było na banany. I w ten sposób zmarnowano te pożyczone pieniądze.

Gdy Polska stała się wolna, po ustanowieniu rządu Tadeusza Mazowieckiego we wrześniu 1989 r., Polska była bankrutem wobec zagranicy. Ale oprócz tego, o czym wtedy nie wiedziano – nawet ja sam nie wiedziałem w momencie obejmowania stanowiska ministra finansów – istniał wielki dług wewnętrzny wobec własnego społeczeństwa. Niektórzy ludzie otwierali konta dewizowe, ale tych pieniędzy (kilka miliardów) prawie nie było, zostały wydane przez poprzednie rządy na import. Dalej, były książeczki mieszkaniowe, czyli ludzie wpłacali pieniądze w nadziei, że dostaną mieszkanie. Pieniądze wpłacili – mieszkań nie dostali. Były książeczki samochodowe: wpłacano pieniądze na „małego fiata”, ale go nie dostawano. I te długi po socjalizmie, zarówno zagraniczne, jak i wewnętrzne, trzeba było spłacać. W końcu je spłaciliśmy.

Druga forma „pobudzania” występuje wtedy, gdy się za bardzo zwiększa kredyt dla firm lub gospodarek domowych. Co się wtedy dzieje? Po pierwsze, rośnie odsetek nietrafionych decyzji kredytowych, gdyż to jakość decyzji i ich szybkość są często w kolizji. Po drugie, gdy pieniądź trafia na te rynki, na których nie można łatwo zwiększyć tego, co ekonomiści nazywają podażą, a popyt, czyli wydatki, rosną, to co się dzieje? Rosną ceny. Typowym rynkiem, gdzie nie można łatwo zwiększyć podaży jest rynek dzieł sztuki. Nie będzie nowego Rembrandta, Maneta czy Picassa. Można jedynie fałszować ich dzieła, a fałszerstwa się ogranicza w miarę efektywnie.

Dobrem, które trudno szybko produkować, są domy i mieszkania, gdyż ich budowa wymaga czasu. Jeżeli nagle zwiększa się masa kredytu trafiającego na rynek mieszkaniowy, rosną ceny mieszkań i nieruchomości. Wówczas to, co się popularnie nazywa bańką spekulacyjną, rośnie, rośnie, rośnie... i wreszcie pęka. A gdy pęka, wówczas przyjemności się kończą i zaczynają się przykrości. Jeśli więc ktoś chce uniknąć załamania gospodarczego, to musi być czujny w dobrych czasach. Czyli trzeba pilnować się, aby nie było tej łatwizny politycznej, tego pokarmu dla naiwnych – nadmiernego wzrostu wydatków, bo tą drogą do dobrobytu się nie dojdzie – dojdzie się do kryzysu.

Do dobrobytu dochodzi się takim poprawianiem warunków działania ludzi, że praca bardziej produktywna: umysłowa, wynalazcza, innowacyjna opłaca się

bardziej niż mniej produktywna, że więcej pracy się opłaca bardziej niż mniej pracy, że nie karze się ludzi za więcej pracy, że nie można łatwo dostawać pieniędzy bez pracy (np. w formie rozmaitych państwowych zasiłków). Choć przysłowia ludowe nie zawsze się sprawdzają, to się sprawdza: „Bez pracy nie ma kołaczy”.

III. Powiedziałem już, co to znaczy „globalny kryzys finansowy” i jakie są mechanizmy przenoszenia się jego skutków, oraz dlaczego jedne kraje ucierpiały bardziej, a inne mniej. A jakie były przyczyny tego kryzysu?

Na ten temat jest wiele błędnych lub powierzchownych wyjaśnień, które są chwytliwe, gdyż kiepski, ale głośny produkt intelektualny sprzedaje się często lepiej w mediach niż dopracowany. Wymienię niektóre z takich wyjaśnień.

Jedno z nich głosi, że jest to kryzys kapitalizmu. Na czym tu polega błąd? Myli się kryzys w kapitalizmie z kryzysem kapitalizmu. Kapitalizm jako ustroj definiujemy przez pewne fundamenty: własność prywatną jako dominującą umowę zamiast nakazu. Umowa jest procedurą rynkowej koordynacji. Jest to sposób koordynacji – masa ciągłych umów nazywana jest rynkiem. Dobrowolna współpraca to właśnie rynek. Otóż nic takiego się nie stało, co zakwestionowałoby owe fundamenty. Jeśli jednak ktoś ma wątpliwości co do kapitalizmu jako takiego, to może porównać go z innymi alternatywnym ustrojem – czyli z socjalizmem.

Socjalizm wedle pierwotnej definicji samych socjalistów to monopol państwa w odniesieniu do gospodarki, monopol własności państwowej (często do tego dodawano brak rynku, co musi prowadzić do nakazów i rozdzielnictwa). Gdzie są dobre przykłady z socjalizmu? Kuba i Korea Północna? Można tu też dodać Iran. Choć niektórym się wydaje, że nie ma on nic wspólnego z socjalizmem, to jednak ma, bo występuje tam duża koncentracja władzy polityczno-gospodarczej. Nie było i nie ma dobrego socjalizmu, czyli ustroju opartego na monopolu władzy państwa nad społeczeństwem i gospodarką. Każdy socjalizm przynosił po pewnym czasie klęski, przynajmniej w sensie traconych szans, a czasami katastrofy humanitarne (np. za Stalina w b. ZSRR, Mao w Chinach, Pol-Pota w Kambodży).

Jest też drugie popularne wyjaśnienie, zwłaszcza w ustach ludzi o zacięciu moralizatorskim (a w Polsce jest wielu moralizatorów w cywilu, gdyż wielu ludziom moralizowanie daje poczucie wyższości). Chciwość (ang. *greed*) – powiadają – jest przyczyną kryzysu. Na wszelki wypadek dodam, że też jestem przeciwko chciwości? Ale co znaczy twierdzenie, że przyczyną kryzysu była chciwość. Czy chodzi tu o zachowania, które się określa „chciwymi”. Jeżeli tak to należy zapytać skąd one się wzięły. Nie wystarczy coś stwierdzić. Skąd miałby wziąć się wzrost natężenia zachowań nazywanych „chciwymi”. Czy też chodzi o to, że nagle pewni ludzie stali się bardziej chciwi, a więc popsuł im się charakter? W takim przypadku też trzeba zapytać, gdzie są na to dowody. Zapytać, jakie są mechanizmy wzrostu chciwości, czy np. pojawił się jakiś wirus chciwości. Nie stwierdziłem, czytając różne opinie, że biologia wykryła epidemii chciwości w sensie jakiegos mechanizmu biologicznego.

Trzecie wyjaśnienie jest bliższe rzeczywistości, ale obarczone ryzykiem błędu. Mówi się, że to sektor finansowy, a ściślej – pewne jego cechy są

przyczyną kryzysu finansowego. Mamy tu ryzyko mylenia symptomów z przyczynami. Miejsce występowania danego problemu nie musi być przyczyną tego problemu. Na przykład wiemy, gdzie, w jakim miejscu występuje problem nazywany katarem – w nosie. Ale czy przyczyną kataru jest nos?

Gdzie są zatem przyczyny kryzysu? Nie ma tu pełnej zgody wśród ludzi, którzy systematycznie zajmują się tym problemem. Ale co do pewnych czynników jest wśród nich zgoda. Mogę się odwołać do raportu, w opracowaniu którego uczestniczyłem – jest to raport de Larosiera, przygotowany przez zespół powołany przez Unię Europejską dla zdiagnozowania przyczyn kryzysu oraz sformułowania rekomendacji. Przygotowało go 8 osób i miałem okazję w tym uczestniczyć; jest on publicznie dostępny.

Według tego typu analiz ważną przyczyną kryzysu były błędy w polityce instytucji publicznych. Trzeba pamiętać, że gospodarka zawsze działa w określonym otoczeniu i część tego otoczenia jest tworzona przez instytucje publiczne (parlamenty, rządy czy banki centralne). Sektor finansowy jest szczególnie poddany otoczeniu, które jest kształtowane przez instytucje publiczne, zwłaszcza ta jego część, którą kryzys najbardziej dotknął, czyli banki.

Powiedziałem już, że boom narasta wtedy, gdy za szybko rośnie kredyt. Kiedy rośnie za szybko? Otóż, kredyt szybko rośnie, gdy stopy procentowe są zbyt niskie. A te z kolei zależą od banku centralnego. Jeśli za bardzo je obniży, to z jednej strony kredytobiorcy się cieszą, z drugiej – oszczędzający w bankach nie mają powodu do zadowolenia. Szczególnie ważne jest jednak to, że kredyt – ponieważ jest tani – szybko rośnie. A jeżeli rośnie zbyt szybko, to pojawia się bańka, która w końcu pęka. Wiele osób zgadza się z tezą, że bardzo poważnym błędem było nadmierne obniżanie stóp procentowych przez FED (Federal Reserve System, czyli amerykański bank centralny) w 2003 r. i utrzymywanie go na niskim poziomie przez dłuższy czas. Dalej, w Stanach Zjednoczonych były naciski polityczne (ze strony Kongresu i innych polityków), aby każdy, czy prawie każdy, mógł uzyskać kredyt mieszkaniowy, nawet jeśli nie spełniał warunków i nie był wiarygodny. I stąd namnożyły się takie niespłacane kredyty. Innymi słowy – w USA zadziałała polityka. Wreszcie pewne oficjalne międzynarodowe regulacje okazały się błędne.

W innych krajach, w których doszło do największego załamania też wystąpiły takie mechanizmy nadmiernego boomu, np. w Hiszpanii, Irlandii, Wielkiej Brytanii, krajach nadbałtyckich.

IV. Co z tego wynika dla Polski? Myślę, że każdy w Polsce chciałby, aby dochodzenie do zachodniego poziomu życia było raczej szybkie niż wolne, bo to się przekłada na takie elementarne rzeczy, jak lepsze mieszkania, lepsza opieka lekarska, więcej wyjazdów za granicę, siła państwa mierzona zdolnością finansowania armii. Bardzo wiele ważnych rzeczy wiąże się ze wzrostem gospodarczym. Ale te masowe pragnienia nie przekładają się automatycznie na działania, które dają rozwój, bo niektórzy ludzie popierają to, co rozwojowi kraju szkodzi. Im będzie ich mniej, tym szybciej będziemy dochodzić do poziomu życia Niemiec.

Przyszłość naszej gospodarki zależy od dwóch sił. Po pierwsze – od sytuacji w świecie; po drugie – od tego, co będzie się działo w Polsce. Co do sytuacji

w świecie można tyle tylko powiedzieć, że wydaje się, iż następuje wychodzenie z recesji, choć jest wiele niepewności co do tempa tego procesu. Dla nas jest jednak ważne, że nie mamy wpływu na to, co się stanie np. w Stanach Zjednoczonych. Nie mamy też wpływu na Chiny czy Japonię. Możemy mieć pewien wpływ poprzez Unię Europejską. I tutaj polska racja stanu wymaga – jak sądzę – żeby zdecydowanie przyjąć jeden priorytet: domagać się wzmocnienia tych mechanizmów, które są dobre dla rozwoju wszystkich krajów członkowskich, w tym Polski, a przeciwstawiać się rozwiązaniom, które są złe dla rozwoju. A w Unii też są takie, np. – jak sądzę – nierozsądna polityka klimatyczna, o bardzo słabych podstawach merytorycznych. Grozi ona obciążeniem gospodarki dodatkowymi podatkami, zwłaszcza gospodarki najbiedniejszych krajów.

Największy wpływ, możemy i powinniśmy mieć na to, co się dzieje w Polsce. Chodzi o to, by decyzje w polskiej demokracji były lepsze, żeby mniej było rozmaitych popularnych, ale szkodliwych. W demokracji, „jak sobie wybierzesz, tak się wyśpisz”.

W Polsce mamy za dużo narzekania, a za mało obywatelskiego działania. W Polsce zbyt dużo ludzi snobuje się na apolityczność: mówią, że wszyscy politycy to złodzieje, oszuści itd. A politycy są tak różni jak inni ludzie, tak jak studenci – nie wszyscy studenci ściągają, nie wszyscy dziennikarze wprowadzają w błąd. Nie można się więc poddawać tym chwytliwym i w sumie bezwstydnym sloganom, które mają zwalniać ludzi z moralnego obowiązku, żeby się trochę zatroszczyć o własny kraj wtedy, kiedy może on iść do przodu. Niezbędna jest mobilizacja ludzi wokół paru propozycji, które wspomagają rozwój i zmniejszają niebezpieczeństwo zaburzeń, przy czym ta mobilizacja będzie tym ważniejsza, im trudniej będzie o nią w naszym otoczeniu.

W praktyce oznacza to parę prostych rzeczy, nie będę wszystkich wymieniał, zwróć tylko uwagę na te, na które trzeba położyć szczególny nacisk.

Otóż trzeba wiedzieć, jakie czynniki są szczególnie ważne dla rozwoju, a które są mniej ważne i te ważne uczynić priorytetowymi. Po drugie – trzeba wiedzieć, w zakresie jakich czynników ważnych mamy szczególnie dużo do zrobienia – to znaczy bardzo się różnimy *in minus* od krajów, które się bardzo szybko rozwijały przez wiele lat, a nazywane są często tygrysami gospodarczymi. Stosując te proste dwa kryteria dochodzę do wniosku, że najwięcej mamy do zrobienia w zakresie jednego ważnego czynnika, a mianowicie finansów publicznych. Mamy niesłychanie rozdęte wydatki budżetu. W konsekwencji mamy bardzo wysokie podatki, a na dodatek szybko rośnie dług publiczny, za który płacimy wysokie odsetki. A to my je płacimy, a nie żaden święty Mikołaj.

Z czego się biorą te ogromne wydatki? Wydatki budżetu są ogromne wtedy, kiedy ogromne są wydatki socjalne, tzn. najrozmaitsze pieniądze, które się dostaje bez pracy. Im więcej „darmochy”, tym większe podatki. Więc z tym się trzeba zmierzyć, a wokół tego problemu jest mnóstwo populizmu, i to podszytego moralizatorstwem, że się broni biednych lub słabszych. Tymczasem badania pokazują, że tam, gdzie jest wysokie długotrwałe bezrobocie (w krajach rozwiniętych: Niemcy, Francja), wynikało to z nadmiernej ingerencji państwa, z przesocjalizowania, a my mamy przedwczesną fiskalną eurosklerozę. Ogrom-

ne wydatki budżetu wiążą się z innym faktem, a mianowicie tym, że w Polsce spośród osób zdolnych do pracy w wieku produkcyjnym pracuje ok. 57%. Oznacza to, że jedna statystyczna Polka ma średnio na utrzymaniu jednego statystycznego Polaka lub odwrotnie. W takiej sytuacji podatki muszą być ogromne. Dzieje się tak m.in. dlatego, że za wcześnie przechodzi się na emeryturę, że łatwo można było dostać rentę. To wszystko oznacza życie na koszt innych ludzi i bez pracy, albo pobieranie różnych zasiłków i pracę w szarej strefie. To jest największy problem, który musimy rozwiązać. Nie ma żadnego znanego mi przypadku tygrysa gospodarczego, który miałby taki balast fiskalno-socjalny jak Polska. Wszystkie te kraje, które się szybko i przez wiele lat rozwijały, miały te obciążenia dwa razy mniejsze (ok. 20% PKB lub mniej, a my mamy ponad 40%). Dzieje się tak dlatego, że w polskiej demokracji wybierani byli dotąd w zbyt dużej liczbie rozmaici fałszywi święci Mikołajowie, którzy obiecywali, że coś dadzą. Ale mogli dać jedynie z podatków, a gdy już tych nie wystarczało, to jedynie z podwyższania długu publicznego.

Jest jeszcze kilka innych rzeczy do zrobienia. Wiele zamieszania i bredni jest wokół prywatyzacji, gdyż niektórym się ona kojarzy z prywatą czy prywatyzowaniem – tu odzywa się mentalny balast socjalizmu. A sprawa jest bardzo prosta: własność państwowa równa się Włoszczowa. Przypadek Włoszczowej pokazuje, kto ma ostateczną władzę nad firmą państwową – polityk. Dopóki przedsiębiorstwa są państwowe, dopóty narażone będą na złe zarządzanie, błędy i będą upadać, gdy tylko znajdą się w obliczu konkurencji (jak na przykład Zakłady Cegielskiego w Poznaniu – zbyt długo odkładano ich prywatyzację, wcześniej podobnie upadły Pewex i stocznie). Własność państwowa zatruwa zarówno gospodarke, jak i politykę. Skoro bowiem jest dostępna duża pula stanowisk do obsady, to czym będą zajmowali się rządzący politycy? Będą zajmowali się ich obsadą. Nie można się na to tylko oburzać, trzeba to zmienić. Należy zerwać z tymi mitami dawnych sreber rodowych, których już dawno nie ma, i odebrać politykom te zabawki. Sprywatyzować, tzn. oddać władzę związaną z własnością w ręce osób fizycznych i niepolitycznych instytucji.

W Polsce mamy duże opóźnienia w prywatyzacji przedsiębiorstw ze względu na to, że się za bardzo przebijały te demagogiczne głosy, łącznie z Najwyższą Izbą Kontroli, która do niedawna zajmowała się oskarżaniem tych ministrów prywatyzacji, którzy dużo zrobili. I tacy zasłużeni dla gospodarki ludzie, którzy dużo dobrego uczynili dla Polski, jak Janusz Lewandowski, byli ścigani przez prokuratorów. Teraz innego zasłużonego człowieka – Emila Wąsacza, który zrobił bardzo wiele dla Polski, także ściga prokuratura, a przedtem większość sejmowa skazała go na Trybunał Stanu. To pokazuje, ile trzeba zmienić w polskiej demokracji.

Poprzez reformy należy doprowadzić do sytuacji, w której więcej osób będzie pracować, mniej będzie wydatków socjalnych, niższe będą podatki. Wówczas gospodarka nabierze dynamiki. Należy też odebrać politykom władzę nad przedsiębiorstwami, co dodatkowo przyniesie dochody i zapewni ewentualną lukę.

Trzeba również sprawić, by prawo w Polsce było lepsze i bardziej stabilne, gdyż w tej dziedzinie także słychać dużo narzekania, z którego nic nie wynika. Z czego bowiem bierze się złe prawo? Z działalności legislacyjnej. A prawo

stanowią wybieralni posłowie. Zatem dobre prawo będzie wtedy, kiedy będziemy lepiej wybierać. Należy zerwać z socjalistyczną brednią, że im więcej ustaw, tym lepiej. Ta biegunka legislacyjna destabilizuje warunki działania ludzi i przedsiębiorstw; sprawia, że większość ustaw to poprawki w stosunku do poprzednich bublek, czyli nowelizacje. Za ideał trzeba sobie postawić jedno: żadnych nowych ustaw, czyli żeby prawo było tak dobre, by nie trzeba go było zmieniać. Jest to oczywiście trudne do osiągnięcia, ale przynajmniej powinno stanowić drogowskaz. A jeśli ktoś się chwali, że uchwalił np. 300 ustaw w roku, to znaczy że jest szkodnikiem.

Recepta na rozwój jest więc prosta – trzeba ją znać. Następnym krokiem jest mobilizacja, tak jak się to dzieje w prawdziwym społeczeństwie obywatelskim.

W każdym społeczeństwie istnieje populizm, to znaczy dążenie do rozdzierania państwa albo ze względu na błędne ideologie (to się nazywa socjalizmem lub etatyzmem), albo ze względu na interesy polityczne lub osobiste. Jeśli na przykład polityk lubi władzę, to znaczy że będzie przeciwny prywatyzacji, gdyż oznacza ona utratę części władzy. Z kolei wielu przedsiębiorców nie lubi konkurencji, będą więc naciskać na polityków, żeby ich chronili (dawali dotacje lub wprowadzali cła). Zawsze tak było i zawsze tak będzie, ale z tego nie wynika, że takie postawy muszą triumfować. Triumfują one bowiem tylko wtedy, gdy nie ma dla nich dostatecznej przeciwwagi, kiedy w społeczeństwie dominuje nurt cierpiętniczo-narzekający. Właściwą odpowiedzią jest zorganizowana mobilizacja społeczna, tak aby każdego dnia wygrywać – na szczęście pokojową – walkę z populizmem. Wtedy to Polska będzie bezpieczna, będzie się szybko rozwijać i dobrze wykorzysta wolność.

*prof. dr hab. Leszek Balcerowicz
Szkoła Główna Handlowa
w Warszawie*